

Piotr Zaremba: II wojna światowa i kino

Pogląd, że trzeba zaszerwować widzowi opowieść dydaktyczną, zagraną przez popularnych aktorów, którzy są „naszymi chłopcami”, i w których warto się zakochać, nie był pozbawiony sensu. A na pewno stanowił jedną z czytelnych ofert, zwłaszcza na tle defetyzmu, zwątpienia i cynizmu części elit współczesnych – pisze Piotr Zaremba w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Historia (nie)pamięci”.

Po obejrzeniu filmu „Kurier” Władysława Pasikowskiego, pewien mój znajomy, znany komentator, ogłosił na Facebooku, że wyczerpuje się sama formuła filmu o II Wojnie Światowej. Kompletnie się z tym nie zgadzam. „Kurier” to z jednej strony po prostu atrakcyjne kino, z którego mój trzynastoletni chrześniak może się dowiedzieć, jak wyglądała niemiecka okupacja w Polsce. Film go zainteresował, więc cel został osiągnięty. I może każde pokolenie zasługuje na nowe poszukiwania w tym względzie.

Zarazem film ten wniósł też coś nowego do dyskusji o polskiej historii. Był próbą odpowiedzi na pytanie, czy Powstanie Warszawskie powinno i czy musiało wybuchnąć. Takie dyskusje nie zostały zamknięte, i długo nie będą. Kino nie jest główną przestrzenią do ich toczenia, ale jakąś jest.

Śniła się nam wojna

Jeśli przywołałem ten głos, to dlatego, że jest on charakterystyczny dla zamętu, jaki panuje w tej sferze. Bez wątpienia intensywność obecności kina wojennego w życiu i mojego pokolenia, i nawet młodszych, może rodzić poczucie pewnego zmęczenia. A z drugiej strony może też wywoływać oczekiwania na dzieło kanoniczne, spełniające wiele różnych celów równocześnie. Filmy realne wydają się, na tle takich wymagań stawianych sztuce, przyczynkami, rodzą rozczarowanie. Zarazem powszechność wojennych debat powoduje, że niemal każdy, przynajmniej zaś spośród przedstawicieli sfer opiniotwórczych, ma własne wyobrażenie, jak wyglądała wojna. I również, czemu jej przypominanie ma służyć. Stąd stałe poczucie: to nie to.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

W przypadku głosów padających na temat „Kuriera” komentatorzy liberalni i lewicowi nie akceptowali podobno zbyt wielkiego ładunku patosu zawartego w filmie. To wbrew pozorom dyskusja nie tylko o języku narracji, o formie, ale także o treści. Te środowiska podejrzliwie traktują samo podejmowanie tej tematyki, bo ma ona służyć heroizacji polskiego narodu. Jeśli już akceptują jakieś spojrzenie, to tylko dekonstruuujące, wręcz prześmiewcze. Z kolei niektórzy uczestnicy dyskusji ze strony konserwatywnej szukali obrazu jeszcze mocniejszego i bardziej stanowczo rozstrzygającego wszelkie dylematy i spory. W dodatku to konserwatyści uważają się za największe autorytety w sprawie, jak należy wojnę pokazywać. Nie mogli pozwolić, aby ubiegł ich tak „podejrzany” twórca jak Pasikowski.

Wszyscy żyliśmy, powtórzę to raz jeszcze w cieniu wojennego kina. Tak dalece, że mnie i moim kolegom śniła się wojna – także z powodu doświadczeń swoich rodziców, ale przecież śnione obrazy pochodziły z konkretnych filmów. Wbrew pozorom nie jest to tylko doświadczenie polskie, choć natura każdej kinematografii była inna, w zależności od doświadczeń konkretnego narodu. W filmie Quentina Tarantino „Dawno temu w Hollywood” mamy obrazki z filmów amerykańskich lat 60., w których dzielny amerykański wojak gromi „nazistów” miotaczem ognia.

Po co wojenne kino?

Kino amerykańskie czy brytyjskie koncentrowało się z oczywistych powodów na doświadczeniach frontowych, podczas gdy francuskie, a nawet włoskie na tematyce ruchu oporu. Kino sowieckie łączyło jedną tematykę z drugą, z przewagą filmów o regularnych polach bitew. Początkowo przeważał zdecydowanie cel pokrzepiania serc i utrwalania mitów, co nie wykluczało bardziej zniuansowanych wątków i dylematów. Potem do głosu dochodziły różne rodzaje rewizjonizmu.

Amerykanie i Anglicy zaczęli zaglądać za fasady spiżowych centrów dowodzenia, szukać błędów, patologii, we własnych szeregach. Francuzi coraz odważniej stawiali kwestie kolaboracji. Wstrząsający film Louisa Malle’a „Lacombe Lucien” z 1974 roku opowiada o strasznych czynach konkretnych ludzi, ale są to Francuzi wysługujący się Niemcom, w ostatniej fazie wojny. Ten film to powód dla którego tacy ludzie jak ja

nie bawili się nigdy szampańsko na serialu „Allo allo” pokazującego wojnę z kabaretowym przymrużeniem oka. Nawet we Francji miała ona swój koszmarny, zgoła nie kabaretowy wymiar.

Ale oczywiście różne nurty, spojrzenia i poetyki koegzystowały obok siebie. Sławny amerykański „Pearl Harbor” Michaela Baya jeszcze w roku 2001 wylewał hektolitry patosu opowiadając o jednym z najważniejszych i najbardziej traumatycznych doświadczeń Amerykanów, kiedy to doznali bolesnej porażki, ale też zaczęli szukać drogi do odkucia się. Pogląd, że trzeba zaserwować widzowi opowieść dydaktyczną, zagrana przez popularnych aktorów, którzy są „naszymi chłopcami”, i w których warto się zakochać, nie był pozbawiony sensu. A na pewno stanowił jedną z czytelnych ofert, zwłaszcza na tle defetyzmu, zwątpienia i cynizmu części elit współczesnych.

Na tym tle polska kinematografia miała dość szczególne dzieje zmagania z wojenną tematyką. Pierwsze filmy o wojnie, takie jak „Zakazane piosenki” czy „Robinson warszawski” opowiadały o zniszczeniach i kataklizmach, ale w finale miały służyć pokrzepieniu. Na dokładkę zostały one jeszcze przed wpuszczeniem na ekrany wciśnięte w gorset propagandy wzorowanej na sowieckiej. Idea odradzania się Polaków wbrew przeciwnościom, i odwetu na Niemcach, została więc powiązana z pochwałą nowej władzy i bezwzględnie akceptowanego sojusznika. Ten sposób opowiadania o wojnie istniał także w następnych dziesięcioleciach, choć stał się nieco subtelniejszy i bardziej popkulturowy – by przypomnieć seriale: „Czterech pancernych” czy „Stawkę większą niż życie”.

Zarazem kiedy po 1956 roku przyszła odwilż, pojawiło się zapotrzebowanie na „prawdę o wojnie”, mogła być ona jedynie niepełna i jednostronna. Znamienny tu jest film „Kanał” Andrzeja Wajdy (1957 rok), który oddawał wprawdzie hołd powstańcom, ale samo Powstanie Warszawskie pokazywał w duchu zwątpienia i niewiary w sens tej walki. Jeszcze bardziej karykaturalny obraz polskiego udziału w wojnie można znaleźć w „Lotnej” tegoż samego Wajdy. Kampania 1939 roku jawi się tam jako klęska polskiego oderwania od rzeczywistości, romantycznego mitu pokrywającego tromtadrację i brak realnej siły.

Polacy od ściany do ściany

Daleko nie wszystko było tu aranżowane przez peerelowską propagandę. Wajda oddawał nastawienie części młodej polskiej inteligencji, która zaakceptowała PRL, bo uznała za przegraną i przedwrześniową Polskę, i Armię Krajową z jej kontrowersyjną decyzją o wywołaniu Powstania. Trudno się jednak dziwić, że daleko nie wszyscy taką postawę akceptowali. Kiedy pod koniec lat 50. pojawił się „antybohaterski” rewizjonizm filmowy Andrzeja Munka, spotkał się on z odrzuceniem bynajmniej nie tylko przez pułkownika Zbigniewa Załuskiego, reprezentującego premoczarowską propagandę, ale także przez tradycyjne kręgi polskich patriotów.

Potem było rozmaicie – kino polskie wahało się między prostą dydaktyką rodem z „Czterech pancernych” i ciekawym wykorzystywaniem wojny do rozmaitych, także moralnych rozrachunków. Pojawiały się równocześnie ostrożne rewindykacje różnych tradycji i mitów, hamowane jednak przez cenzurę. Jeszcze w

połowie lat 70. wielką popularnością cieszył się telewizyjny serial „Polskie drogi”. Łączył on sugestywny obraz życia codziennego w Polsce okupowanej przez Niemców z propagandową tezą polityczną: że rzecznikami konsekwentnej walki z Niemcami byli tylko członkowie komunistycznej Armii Ludowej. Zaledwie parę lat później, jeszcze za Gierka, Jan Łomnicki kręci „Akcję pod Arsenalem”, piękny hołd złożony Szarym Szeregom, już bez propagandowych podpórek. Trudno się jednak dopatrzeć w tych filmach łącznie konsekwentnej polityki historycznej.

W gruncie rzeczy tak było i po roku 1989. Polskie kino lata całe było za biedne finansowo, i zbyt rozchwiane ideowo, aby nadrabiać stracony czas PRL-u. To się zaczęło zmieniać dopiero w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Pod wpływem takich zdarzeń jak budowa Muzeum Powstania Warszawskiego zrodziło się oczekiwanie na ten jeden fundamentalny film, który powie prawdę o polskich losach. Ale takie dzieło wciąż nie powstało. Choć tak naprawdę wyglądali go nie tylko pravicowi politycy i intelektualiści. Także do części sfer artystycznych zaczął docierać choćby przykład kina czeskiego. Zdaniem prof. Andrzeja Nowaka czescy filmowcy byli tu co prawda jedynie podążającymi za czeskimi publicystami i historykami – niemniej to oni umieli wyolbrzymić i przekuć w oręż polityki historycznej opowieści o czeskich lotnikach na Zachodzie czy o zamachu na Reinhardta Heydricha.

Doceniając takie remanenty jak „Katyń” Andrzeja Wajdy czy „Miasto 44” Jana Komasy, trudno się oprzeć wrażeniu, że my Polacy, wciąż operujemy w sferze bardziej rozbudzonych oczekiwań niż wielkich

osiągnięć. Sprzyja temu dysonans: jedni żądają rewizjonizmu, dekonstrukcji, inni dzieł, które nie mogły powstawać w warunkach Polski komunistycznej.

Może największym sukcesem historycznego „aktywizmu” w kinie były w roku 2018 aż dwie produkcje w jednym roku o lotnikach z Dywizjonu 303. Przy czym ważniejszym od tego polskiego był moim zdaniem film realizowany przez Anglika Davida Blaira, choć z udziałem Polaków, „303. Bitwa o Anglię”, bo mocno oddawał sprawiedliwość polskim pretensjom do samego Londynu – o małoduszność i egoizm. Nie stały się one jednak bardzo wielkim sukcesem kasowym (choć miały przyzwoite wyniki). Może przysły w momencie, kiedy wielkie emocje historyczne Polaków zaczęły się już trochę wyczerpywać. Nie bez znaczenia było też to, że premiery niemal w tym samym momencie musiały się wzajemnie blokować.

Myć ręce czy nogi?

Trudno też nie zauważyć pewnej prawidłowości. Skoro mamy wyjątkowo rozbieżne wizje, co chcemy powiedzieć, myjemy z reguły albo same ręce, albo same nogi. Telewizyjny tasiemiec „Czas honoru” był względnie udaną próbą przeniesienia w sferę kultury popularnej opowieści o cichociemnych. Mieliśmy tam młodych, popularnych aktorów, wartką, sensacyjną akcję. Niestety, z powodu rozlicznych dowolności w traktowaniu realiów serial nie osiągnął nigdy statusu poważnego, akceptowanego choćby przez środowiska kombatanckie. Kolejne serie stawały się coraz bardziej kosmiczne, oderwane od rzeczywistości.

Z kolei tam, gdzie próbowano opowiadać o wojnie na nowy sposób, bez upiększeń, popkulturowego retuszowania, barierą stała się nazbyt niszowa forma. Tak było z filmem Marcina Krzyształowicza „Obława” z 2012 roku próbującym pokazywać straszne, także wstydlive zakamarki życia partyzanckiego, trochę w stylu noweli „Buty” Jana Józefa Szczepańskiego. Pojawiły się protesty kombatantów, ale chyba ważniejszy okazał się brak zainteresowania szerokiej publiki. Szkoda, bo taki typ opowieści o wojnie także jest Polakom potrzebny.

Czasem próby dalej idącej dekonstrukcji natrafiały na opór społecznej materii i prowadziły do swoistego kompromisu. Tak było z filmem „Tajemnica Westerplatte”, którego scenariusz był sprzedawany w aurze skandalu, jako próba odbrązowienia mitu tego pierwszego bastionu polskiego oporu. Film odwoływał się do realnych zdarzeń, do konfliktu między nie wierzącym w sens obrony majorem Henrykiem Sucharskim i jego zastępcą kapitanem Franciszkiem Dąbrowskim, który preferował przedłużanie oporu. W gruncie rzeczy pokazano już ten spór, tylko mniej drastycznie, także w kanonicznej filmowej opowieści z czasów PRL, czyli w „Westerplatte” Stanisława Różewicza.

Atmosferę podgrzewały mało fortunne wypowiedzi reżysera Pawła Chochlewa, który początkowo próbował się kreować na bezwzględnego pogromca polskiej mitologii – trochę ponad miarę. Nie zadawszy sobie choćby pytania, dlaczego Amerykanie w warunkach triumfu Japończyków na przełomie 1941 i 1942 roku tak długo bronili twierdzy Bataan na Filipinach – tylko dla ważnego politycznego symbolu. Ale paradoksalnie ostateczna, nieco wyczyszczona pod wpływem

protestów, wersja filmu Chochlewa była całkiem przyzwoitym, a w finale wzruszającym kinem wojennym. Niestety znów trochę rozmijającym się ze zbiorowymi emocjami Polaków.

Możliwe, że czekać na takie emocje będziemy jeszcze długo. Chwaląc aktywną politykę historyczną państwa, jej produktem był też „Kurier”, warto podkreślić: nie da się ich wykrzesać na zamówienie.

Mnie jednak cieszy to, że kolejni filmowcy szukają w wojennych czasach inspirujących historii. Może zaskakiwać fakt, że TVP do kolejnego serialu, tym razem o egzekutorach, działających w strukturach AK, wytypowała ekscentrycznego specja od fantastyki i fantazji Bodo Koxa. Może ze zderzenia jego temperamentu z tematem powstanie coś inspirującego. Jeszcze bardziej obiecujące wydają mi się kilkuletnie poszukiwania dokumentalisty Jacka Bławuta, który pracując ze świetną obsadą obiecuje nam wyjaśnienie tajemnicy zniknięcia ORP Orzeł. Ten okręt był już skądinąd bohaterem niezłego filmu nakręconego głęboko w PRL.

Możliwe, że należy się wyrzec myśli o odpowiedzi na wszystkie wojenne pytania w fundamentalnych obrazach. I pogodzić się, że te które padną, będą chaotyczne, poszarpane i zawsze niepełne. Nie mamy więc chyba wielkich szans na powtórzenie wariantu czeskiego, choć możliwe, że na przeszkodzie stoi tu także współczesna polityka. Zachód za wiele musiałby poświęcić przyznając nam w różnych sprawach rację. Ale doczekamy się iluś ciekawych opowieści, które nas wzbogacą. Nie tylko jako jednostki, także jako zbiorowość. Pomimo wszystkich kontrowersji, widziałem, jak choćby „Kurier” umiał godzić ludzi o skrajnie odmiennych biografiami i zapatrywaniach.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego